

nie wyprzystać
Ces mojej rodziny
K. J. Cieniewski

Relacja Krystyny Bochwic-Jabłońskiej

[Urodziłam się w lipcu 1931 r., w Wilnie. Urodziłam się w rodzinie ziemianskiej, rodzice moi mieszkali pod Nowogrodkiem w majątku Paulinów. Mieszkalam tam wraz z rodzicami do 1937 r.

Mam trochę wspomnień z tego okresu. Pamiętam swoje nianki - Białorusinki, pamiętam dużo ilosc rodziny, młodzieży, ponieważ dom był duży i było zawsze dużo gości. Mama prowadziła pensjonat, przyjeżdżali więc różni ludzie i z rodziny i znajomi. Tak że pozostały mi wspomnienia bardzo rojnego i pełnego domu. Dom był zawsze katolicki, zawsze o takim religijnym charakterze. Jako taka ciekawostkę mogę zaznaczyć, że mama organizowała takie rekolekcje dla okolicznego ziemianstwa, które prowadził ks, Zieja, który żyje jeszcze i jest znana postacią. Przyjeżdżał do naszego domu i prowadził rekolekcje.

To wszystko trwało do 1937 r., kiedy to moi rodzice się rozstali. Ja zostałam wówczas przewieziona (miałam przecież dopiero 6 lat) do Wilna, początkowo do majątku moich dziadków, rodziców mego ojca, którzy mieszkali pod Wilnem. Następnie przyjechała matka mojej mamy z Poznania i wynajęły mieszkanie w Wilnie na ul, Witoldowej, na Zwierzyncu. Tam zamieszkaliśmy latem 1937 r., nie pamiętam miesiąca, ale był to może czerwiec.

Było to bardzo ładne duże mieszkanie, ładnie urządzone, wygodne, pełne takiego ciepła domowego. Bardzo tam miło i dobrze ten okres wspominam. Trwało to zaledwie 2 lata, bo jak wiadomo we wrześniu 1939 r. wybuchła wojna.]

Mysmy w tym czasie byłyśmy takim letniskiem pod Wilnem. Ponieważ stosunki z dziadkami nie zawsze układały się najlepiej, więc mama w 1939 r. wynajęła letnisko w miejscowości

Czarny Bór pod Wilnem. Tam zaskoczyła nas wojna.

Pamiętam, że się u mnie w domu mówiło o wojnie, że się spodziewało wybuchu wojny, że mama robiła pewnego rodzaju zapasy i starała się jakos do tej wojny przygotować.

Tu muszę zaznaczyć, że nasza sytuacja materialna w tym czasie była dobra, bo jakkolwiek rodzice się rozstali, to były jakieś tam świadczenia ze strony mego ojca. A poza tym moja babcia była osoba dosyć zamożna, miała emeryturę dosyć wysoka. Wtedy te rzeczy inaczej wyglądały niż dziś, babcia ze swojej emerytury mogła utrzymać dom i służbę. Ja miałam bone, a mama przecież nie pracowała przed wojną. No, wszystko to było tak bardzo wygodnie zorganizowane.

[Ja pamiętam wybuch wojny bardzo dobrze. O 6 rano 1 IX pierwsze bomby spadły w okolicach Wilna, na Wilenszczyźnie właśnie niedaleko tego miejsca, tej miejscowości, w której myśmy byli. A dlaczego? Ponieważ tam było duże lotnisko, nazywało się Porubanek i Niemcy bombardowali to lotnisko. Było to właśnie niedaleko od tego miejsca, gdzie myśmy mieszkali, więc pamiętam doskonale te detonacje, wybuchy bomb. Pierwszy raz się z tym zetknęłam, pamiętam, że wszystko się zatrzęsło, zadzwoniło przeraźliwie w domu. To były właśnie pierwsze bomby. Natychmiast staraliśmy się stamtąd dostać z powrotem do Wilna, trochę koni, trochę jakimś samochodami. Szosa była zapchana, wszyscy w panice uciekali w jedną i drugą stronę. Jakos dobrneliśmy jednak do domu do Wilna i to się wszystko szybko uspokoiło, bo narazie Niemcy w ogóle nie doszli do Wilna. Minęło parę dni i, tu świetnie pamiętam 17 września i atak sowiecki na Wilno. To pamiętam doskonale,

W nocy były strzały, myśmy schodzili do piwnic do schronów i tam ogólne przerażenie, ogólny lek.

Tutaj muszę zaznaczyć, że moja rodzina doskonale sobie radziła z tą sprawą, co to jest Rosja sowiecka. Myśmy tam na Wschodzie byli doskonale zorientowani w przeciwieństwie do wielu ludzi w centralnej Polsce, którzy nie zdawali sobie z tego sprawy. Do 1945, 1946 r. uważali, że komunizm i wejście władz sowieckich tam, że to nie jest właściwie nic takiego strasznego. Tymczasem my na Wschodzie doskonale wiedzieliśmy, co to jest komunizm, co to jest władza sowiecka, jakim nienezpieczeństwem są bolszewicy, jaka to jest okropna rzecz ich wkroczenie do Wilna. Pamiętam w nocy te armaty, to wszystko. No, oni bardzo szybko znaleźli się w Wilnie i od razu nastąpił taki koszmar, można to tak nazwać. To znaczy nikt, kto bezpośrednio nie zetknął się, nie przeszedł, że tak powiem z normalnego życia w normalnym, wolnym kraju do koszmaru bolszewizmu - tego w ogóle nie zna. Bo młodsze pokolenie urodziło się po prostu w tym, tak było, daleko pamiętają. Tu w tzw. Polsce Ludowej oni nie wiedzieli, że może być inaczej.

Myśmy żyli w innym świecie, wolnym, normalnym i z dnia na dzień się to wszystko zmieniło.]

Ja właśnie teraz niedawno czytałam "Pozzoge" Zofii Kossak-Szczuckiej i właśnie bardzo podobne mam skojarzenia, z tego normalnego świata do straszliwego koszmaru bolszewickiego. W czym to się wyrażało? Natychmiast wszystko znikło ze sklepów. Natychmiast zrobiły się kolejki, ale to z dnia na dzień. Nie wiem, czy to wszystko zostało pochowane, czy oni to rozgrabili, tego nie potrafię opowiedzieć. Wiem tylko, że od razu nic nie było, niczego nie można było kupić. Moja mama, babcia i wszystkie panie mówiły, że trzeba się jak najgorzej prezentować, wszyscy ubierali się w jakies najgorsze rzeczy, jakie były w domu. Mama się owijała jakąś chustką straszną, starą, żeby

wygladac jak jakas baba. I w takich strojach sie szlo, zeby zdobyc jakis chleb, czy cos. No, oczywiscie bylo troche zapasow w domu. Wszyscy byli przerazeni, jacys zdenerwowani, no bo zaraz za tym sie rozpoczynaly represje, jak wiadomo.

U nas jeszcze, w naszym zyciu do tych represji nie doszlo do objecia Wilna przez Litwe. Bo pozniej Wilno zostalo oddane na krotki czas Litwie. Nie Litwie sowieckiej, tylko Litwie. Litwa weszla do Wilna, rozpoczely sie rozmaite szykany ze strony Litwanow, ale, jesli chodzi o warunki bytu, wszystko sie od razu zmienilo. Litwa byla krajem dobrze zorganizowanym gospodarczo, zamożnym i Litwini przyszli od razu z pelnym asortymentem zywnosci - mleka, miesa, masla, wszystkiego. Tak wiec te rzeczy wrocily, tylko rozpoczely sie takie drobne przesladowania i szykany Polakow przez tzw. szaulisow litewskich. To byli policjanci litewscy, ktorzy zaczepiali na ulicy, pytali sie o godzine i jak ktos odpowiedzial po polsku, to go bito pala czy cos takiego. Tak wiec takie rzeczy sie zdarzaly na porzadku dziennym.

Ale to wszystko razem niezbyt dlugo trwalo, bo z powrotem weszli sowieci. Litwa zostala jako republika wlaczona do Związku sowieckiego i juz wtedy calkowicie zapanowali sowieci.

Od tego momentu datuje sie najgorszy okres przemocy bolszewickiej. Z tego co ja pamietam - przede wszystkim rozpoczely sie rewizje. Rozpoczely sie przesladowania inteligencji, tej ziemianskiej sfery, itd. Ppniewaz my mieszkalysmy w Wilnie, tak jak powiedzialam, z babcia, z mama i w tych ewidencjach nie bylismy juz znany, ze jestesmy pochodzenia ziemianskiego, wiec to nam mniej grozilo. Ale np. moi dziadkowie, ktorzy byli w swym majatku pod Wilnem - uciekli stamtad i ukrywali sie.

[Moj ojciec wraz ze stryjem w momencie wkroczenia bolszewikow w 1939 r. byli w majątku pod Baranowiczami i zostali ostrzeżeni, że już po nich idą do domu, żeby ich zabierać jako "pomieszczyków". Oni uciekli do lasu tak, jak stali. Lasem przedzierali się do Nowogrodka i w ten sposób ocalili, bo prawdopodobnie byłiby od razu aresztowani i rozstrzelani, jak zresztą inni moi wujowie, wyprowadzani za stodoły i rozstrzeliwani.] To w rodzinie Bortkiewiczów, ze strony matki, został w ten sposób zamordowany jeden z wujów.
To były takie obyczaje.

Mysmy w tym Wilnie jako kobiety były na ul. Witoldowej jakos mniej przesładowane w tym czasie. W międzyczasie jeszcze siostra cioteczna mojej mamy, która była żoną prokuratora (polskim oczywiście w okresie 20-lecia), Mirosławem Nowickim. On był prokuratorem do spraw specjalnych tak zwanych, to były sprawy komunistyczne. On sądził komunistów i skazywał ich rzeczywiście, to nie była żadna przesada. Więc on był natychmiast na tej liście sowieckiej i musiał się ukrywać. Oni mieszkali w Wilnie na ul. Kalwaryjskiej i uciekli do naszego mieszkania i tam się ukrywali. Uciekli wraz ze swoją starą służącą, taką gospożą, która też u nas się znalazła. Mieli wtedy małe dziecko, córeczkę, która urodziła się w maju 1939 r. Ale sprawa była bardzo niebezpieczna, bardzo groźna, więc jak tylko Litwa zajęła Wilno - postanowili uciekać na Litwę. Pamiętam to doskonale ruszyli piechotą na Zmudz, gdzie mieliśmy rodzinę, mieli tam majątek. Mieszkała tam siostra mojej babci. Ruszyli tam piechotą z tym małym dzieckiem w wózku. Nowie to dlatego, że ilustruje to, jak straszna była groźba bolszewizmu. To się udało, bo oni dotarli tam i tam przetrwali najgorszy okres. Potem wuj uciekł i schronił się w Warszawie, gdzie

przez wojne sie uchowal. Po wojnie zamordowalo go juz nasze UB. Zostal w 1948 r. rozpoznany, aresztowany i w czasie sledztwa zatorturowany tutaj w Warszawie na Rakowieckiej.

Pozostalo po nim u nas troczke dokumentow, takich nie bardzo dobrych. Jednak jakies slady zostaly, po sowieci przyszli do nas z rewizja, jak juz ich nie bylo. Te rewizje pamietam swietnie, bo to bylo w nocy, jak juz spalam. Pamietam, ze obudzil mnie taki moment, ze rewidujacy zolnierz zaswiecil mi latarka w oczy. Obudzilam sie i zobaczylam nad soba taka straszna twarz tego sowieta w czapce z uszami i czerwona gwiazda. Ten obraz pozostal mi na cale zycie, ja po dzis dzien boje sie sowieckiego munduru, jak widze gdzies na ulicy sowieckiego wojskowego, to uciekam na druga strona. Rewizje te byly u nas pare razy. Dokumenty mego wuja zostaly ukryte w ten sposob, ze ta gosposia wziela je, wszystkie zwiniete pod pacze i okryla sie chustka, jakke nosily w Wilnie kobiety. Oni tego w ten sposob nie znalezli.

Jak oni przyszli za drugim razem i zaczely sie wywozki, to juz bylo rzeczywiscie okropnie. To wszystko jest juz dokladnie opisane i sklasyfikowane, wiec nie ma tu potrzeby powtarzac, ze to byly grupy, byly takie transze, ze jedna grupa jechala tam w jednym okresie jesienia, potem zima, potem znow wiosna na przelomie tych lat 40/41. W kazdym razie mysmy juz na tych listach byly i z domu w ktorym mieszkalysmy, byly wywozone cale rodziny. Na pietrze mieszkal wlasciciel tego domu, zreszta tez znane nazwisko - Ruszczyzyc, obok mieszkal jakis wysoki urzednik sadowy. Na takim wyzszym parterze mieszkalysmy my i rodzina plk. Szafrana (on juz wtedy byl w Katyniu, gdzie zostal zamordowany) - zona i dwoch synow. Oni tak jak gdyby

od góry zaczęli. Wywiezli wszystkich po kolei, również rodzinę państwa Szaniawskich i zbliżali się do nas. Myśmy już byli przygotowani do tego wyjazdu, już był spakowany bagaż, który można było zabrać ze sobą - można było zabrać tylko tyle, ile zdołało się unieść. Były więc spakowane same ciepłe rzeczy, bo było wiadomo, gdzie my jedziemy. Pamiętam przerażenie mamy i mojej babci - nie było po prostu możliwości uciekać. Każdy dzwonek do drzwi - to się nam wydawało, że idą po nas. Zajeżdżała NKWD taka normalna ciężarówka i ładowali na nią. To się działo dosłownie po 20 czerwca i ta ciężarówka po nas już nie zdążyła przyjechać. Dosłownie nie zdążyła po nas przyjechać, bo wybuchła wojna sowiecko-niemiecka.

Dla nas to było wybawienie, uratowało nas to od wywozki. Z tym, że w naszym domu mieszkało wtedy sporo rodzin żydowskich. Były to rodziny tzw. uciekinierów żydowskich. Jak wojna wybuchła w 1939 r. dużo rodzin żydowskich uciekało przed Niemcami właśnie w kierunku wschodnim. Parę takich rodzin znalazło się w naszym domu. Były to rodziny, które odnajdło się pokoje i zdołało jakoś mieszkać. Bardzo zresztą mili ludzie, byliśmy z nimi w bardzo dobrych stosunkach. To byli przeważnie kulturalni, mili ludzie. Częściowo udało im się wyjechać w ogóle zupełnie dalej na Zachód, w kierunku Ameryki, wyjeżdżali na Martynikę jeszcze za czasów litewskich, tych właśnie drugich już władz sowieckich. Jakoś pozwalano im, nie przesładowano. Ale nie wszyscy, część tych ludzi doczekała się wejścia Niemców. I pamiętam to doskonale, że gdy myśmy się cieszyli z tego, że Niemcy przyszli i nas uratowali od wywozki, to oni byli bardzo tym przerażeni. I rzeczywiście nie pomyśleli się, bo wszyscy zgineli. To było okropne, musiałismy na to patrzeć i byliśmy bezradni.

Pamiętam zakładanie a potem likwidowanie wileńskiego getta, szczególnie okrutne, straszne, bo było to rozstrzeliwanie ludzi, a potem zakopywanie na wpol żywych. Niestety, ale bardzo w tym się zasłużyli Litwini. Pomagali Niemcom i to jest naród, co do którego ja mam sporo zastrzeżeń, chociaż uważam dzisiaj, że trzeba z nimi szukać jak najszerszej płaszczyzny porozumienia. Zresztą współczuje im z całego serca wszystkich tych przemyśleń, jakie teraz mają, ale nie zapisali oni pięknej karty w moich wspomnieniach.

Jak, już weszli Niemcy, to ucieczka wojsk sowieckich była błyskawiczna. Niemcy weszli do Wilna z maszą, cała ta bitwa o Wilno trwała jedna noc. Przez całą noc siedzieliśmy w schronach, było bombardowanie, jakieś walki. Rano wszystko ucichło. Jak myśmy wyszli ze schronu, nie wiedząc, co jest, to pod naszym domem stał już czołg niemiecki. z czarnym krzyżem i po sowietach nie było nawet śladu. Zresztą wtedy całe ich uzbrojenie było raczej groteskowe wręcz, więc szybko zostało przepędzone.

Rozpoczęła się więc okupacja niemiecka. W odróżnieniu od tego, co działo się w centralnej Polsce i w Warszawie - okupacja niemiecka w Wilnie miała zdecydowanie inny charakter. To znaczy o wiele łagodniejszy, o wiele bardziej ludzki. Była raz taka represja, to było aresztowanie 10 czy 12 zakładników za jakieś wysadzenie torów i inne takie akcje, bo tam była silna partyzantka AK-owska. W odwet za to Niemcy, to było chyba w 1943 r. aresztowali grupę inteligencji, adwokatów, lekarzy, profesorów i wszystkich ich rozstrzelali. To była rzeczywiście straszna rzecz i to się zdarzyło właściwie tylko raz, taka większa represja. Natomiast jakos specjalnych szykan przeciwko ludności nie było. Była oczywiście walka z partyzantką

Niemcy organizowali zbiorki ciepłych rzeczy dla jadących na front żołnierzy, ale to nie były jakieś wejścia do domów, to nie były rekwizycje. Już nie pamiętam, jak się to dokładnie odbywało, ale nie było jakichś gwałtowanych rzeczy.

Natomiast myśmy się zetknęli z Niemcami w naszym domu. Ponieważ były to bardzo ładne, duże mieszkania, więc Niemcy częściej tych mieszkań nam zarekwirowali. Kazali się nam powiedzieć w dwóch pokojach pomieścić, a trzy pokoje zajęli dla wojska, dla oficerów. Ale nie było to na zasadzie jakiegos gwałtu. W tych pokojach pozostały nasze meble. Ci lokatorzy zmieniali się, bo odchodzili na front i wprowadzali się nowi. To był Wehrmacht, nie było to ani gestapo ani SS. Nie tylko, że nas nie przesładowali, ale czasami wręcz pomagali nam. Sprowadzali np. dla siebie opał na zimą, to i dla nas również. Az do drobnych uprzejmości, pozwalali na przykład korzystać ze swojego radia, co jak wiadomo, w czasie wojny było ściśle zabronione.

Nad nami mieszkanie zajęła jakaś formacja geologiczna, bo i to przy wojsku też było. Zajmowali się oni jakimis pomiarami geologicznymi. Ja, a także moja najbliższa rodzina nie doznałam jakichś szczególnych przesładowań ze strony Niemców w życiu codziennym.

Natomiast wspomnę tutaj o innej sprawie, która równoległe do tego działała się w Wilnie. Otóż brat cioteczny mojej matki, Stanisław Turski miał w Wilnie tajną drukarnię. To była taka dość znana sprawa, nawet opisywał ją Józef Mackiewicz w swojej książce "Nie trzeba głośno mówić", który też przeżył okupację w Wilnie. Wuj miał drukarnię, bardzo zresztą udaną, niesłychanie wydajną, która polegała nie na wydawaniu prasy podziemnej, chociaż to może też - ale głównie na fabrykowaniu dokumentów dla ludzi zagrożonych, rozmaitych ausweisów itd. Robiono tam

świetne falszerstwa podpisów rozmaitych dygnitarzy niemieckich. Wuj był zresztą chemikiem i fotografikiem, po wojnie też działał jako fotografik, więc on po prostu umiał te rzeczy robić. Ta drukarnia w pewnym momencie wpadła. To była duża wyspa, ale wuj uciekł, nie dał się złapać. Zaaresztowali jego rodzinę - jego matkę staruszkę, siostrę i zabrano do gestapo. Zona była w tym czasie poza domem, jeździła gdzieś na wies z jakimś handlem i uszła. On się ukrywał jakiś czas u nas. Dzięki temu, że u nas mieszkali Niemcy, ten dom był mniej obserwowany i nikt się nim specjalnie nie interesował. Wuj nie wychodził do czasu, gdy wymknął się niepostrzeżenie dalej.

[Moja mama w okresie wojny musiała już od samego początku zacząć ciężko pracować, bo nie było innego źródła utrzymania. Za czasów sowieckich, ponieważ była żona "pomieszczyka" i z tej sfery - nie było innej pracy, jak praca fizyczna. Mama pracowała bardzo ciężko na budowie przy noszeniu gruzów i wapna. Nigdy nie znalazła takich zajęć. Potem musiała myć jakieś podłogi... Okropnie się tym męczyła, ale było to jedynym źródłem utrzymania. Babcia była już w tym wieku, że nie mogła się niczego podjąć, była zresztą chora na serce. Natomiast w czasie okupacji niemieckiej mama dostała pracę w piekarni, jako ekspedientka. To było już zbawienne, dla tego, że mieliśmy nie tylko my, ale też wielu naszych znajomych, przyjaciół - chleb. To było bardzo ważne, bo wszystko było kartkowane. Mama nawiązała kontakt z organizacją podziemną i była w AK. Miała tego rodzaju zadanie, że przekazywano jej środki pomocy dla inteligencji w Wilnie, głównie dla profesorów. To z Anglii przychodziły jakieś pieniądze dla profesorów, inteligencji wileńskiej.] W piekarni, w której mama pracowała zaopatrywali się w dużej mierze Niemcy, bo była ona vis a vis gestapo na Mickiewicza.

Dlatego o niej mówię, że ta piekarnia była takim punktem przekazywanym.

Przychodziło tam dużo Niemców, bo nie było w Wilnie takich instytucji "Nur für Deutsche" jak piekarnie, środki lokomocji, kawiarnie. Przynajmniej są sobie tego nie przypominam.

To było wygodne, bo jako klienci przychodziło dużo ludzi do mamy, którzy nie przychodzili po zakup pieczywa, ale załatwiano zupełnie inne sprawy, w cieniu gestapo. To wszystko działo się ~~wszystkim~~ bardzo sprawnie i nie było nigdy żadnej wpadki. Później zaczęło się to wszystko dziać na większą skalę, bo chleb z tej piekarni zaczęto kierować do AK, do partyzantki w lesie. W związku z tym były robione kombinacje z kartkami. Jakos to się dobrze układało, że nie było w związku z tym przesładowan.

Jeżeli chodzi o taki dzień powszedni. [Ja w tym czasie uczyłam się w tajnym gimnazjum. Przez szkołę podstawową przeszedłam w okresie sowiecko-litewskim. Gimnazjum to prowadziła bardzo z nami zaprzyjazzniona nauczycielka, która prowadziła naukę na zasadzie tajnych kompletów. Znaczący, to też nie było tak, że ~~xxx~~ trzeba się było specjalnie z tym kryć, ale nikt się z tym nie afiszował. Komplet składał się z kilku dziewcząt. W pierwszej klasie gimnazjalnej ta nauczycielka uczyła nas wraz ze swoją ~~aiostraw~~ wszystkich przedmiotów, które wchodziły w zakres programu. Chodząc na te nauki trzeba się było uczyć jednocześnie w domu, zdobywać sobie jakos podręczniki. To wszystko się zdobywało, bo były to jeszcze rzeczy przedwojenne, przekazywane kolejno. Podobnie lektury, książki. To wszystko było i to nawet sporo. W tym czasie było też ~~gaj~~ najbardziej życie kulturalne między ludźmi i to ożywione. Była oczywiście godzina policyjna, trzeba się było z tym liczyć. Ja mówię o dorosłych, ja z godziny policyjnej nie musiałam korzystać, bo o takiej godzinie samodzielnie jeszcze nie mogłam się poruszać.]

Pamiętam, że u nas w domu też odbywały się jakieś zebrania, brydże, jakies tego typu rzeczy. Ludzie jakos to robili, jakos się spotykali. Wszystkie uroczystosc, swieta, Boze Narodzenie, Wielkanoc - wszystko bylo jak najbardziej uroczyscie urzadzane. Byly oczywiscie takie potrawy, na jakie mozna sobie bylo w czasie wojny pozwolic. Jakiegos glodu nie odczuwalismy, przede wszystkim dlatego, że mama pracowala w piekarni, wiec zawsze bylo pieczywo, ktore mozna bylo wymienic na cos innego w razie czego. W ogole w zasadzie jakiegos wielkiego glodu w Wilnie nie bylo. To znaczy byly braki w sensie jedzenia powiedzmy bardziej wykwintnego, ale mozna bylo kupic mieso, mozna bylo kupic tluszcze, cukier... Pamiętam, że nie bylo herbaty. Niemcy produkowali i mozna bylo kupic tzw, ersatze, a wiec byla to jakas herbata z lisci malin czy poziomek. Sprzedawane to bylo w takich prasowanych kostkach. Nie bylo tez zadnych bakalii. Niektorzy, mysmy tez dostawali paczki od rodzin z zagranicy, np. mozna bylo przesyloc paczki z Anglii przez Portugalie, przez Lizbone. Byly to nieduze paczuszki, ktore zawieraly troche bakalii. Przychodzila taka paczka powiedzmy 2 kilowa i tam bylo troche rodzynek, fig, herbaty. Ale to byly juz takie wielkie luksusy, ktore dostawalo sie tylko na swieta. Na codzie bylo raczej skromnie, ale nie byly glodu. nigdy. Bylo tylko duzo tych rzeczy zastepczych. Ale jakos sie tego specjalnie nie odczuwalo, jakos to zycie bylo tak zorganizowane, ze to wezystko bylo do zniesienia. Oczywiscie wszyscy wiedzieli, ze sie to niedlugo skonczy, ze wojna niebawom musi sie skonczyc. Nikt nie myslal i nie zdawal sobie sprawy z tego, ze bedziemy musieli Wilno opuscic, nikt jakos nie bral tej mozliwosci pod uwage do 1945 roku. Dopiero jak sie rozpoczely te konferencje

jaltanskie, o których informacje do nas docierały (były jakaś prasa podziemna i było radio). O tym, że zaczynają nas sprzedawać, docierało to już pod koniec wojny do świadomości, w każdym razie mojego środowiska. Jakos tak to wszystko trwało i szło.

Latem wyjeżdżaliśmy pod Wilno, gdzie mama wynajmowała trochę letniska. Jeździłam również do moich dziadków pod Wilno, do ich majątku, bo oni z kolei przez całą okupację niemiecką mieszkali normalnie w swoim majątku. Nikt ich tam nie prześladował ani nie szykanował. Nie wszystko tylko wolno im było hodować, musieli zdaje się oddawać swinie, czy coś, były jakieś takie ograniczenia. Ale to nie było jakies grozne nigdy i jakos przez okres okupacji niemieckiej na Wilenszczyźnie wszyscy trwali. To tak wyglądała strona polska.

Natomiast strona żydowska wyglądała tragicznie, dlatego, że getto najpierw było wydzielone, w Wilnie też, gdzie ci nieszczęsni ludzie byli spędzeni. W tym czasie dorosli, bo ja w tym nie brała udziału, moja mama i ludzie, z mojego domu pomagac w ten sposób, że jak ich pedzono gdzieś do pracy, to ludzie stali i podawali im chleb. Niemcy jakos przez palce na to patrzyli, nie strzelali w każdym bądź razie do tych, którzy ten chleb podawali. W ten sposób im się jakos pomagale, ale w zasadzie wszystko było bardzo ograniczone, nie było tych możliwości. Getto było zamknięte, nie było takiego przenikania i korespondencji z gettem jak w Warszawie, przynajmniej na taką skalę, ja przynajmniej nie słyszałam. To getto zostało dużo szybciej zlikwidowane, jak w Warszawie. Bardzo szybko zaczęli Niemcy rozstrzeliwać Żydów w miejscowości Ponary pod Wilnem, dokąd ich wywozono. Myszmy to wszyscy przeżywali z wielkim współczuciem i smutkiem. Mielismy znajomych i ludzi, którzy tam wtedy zgineli. Nie było na to żadnej rady, nic na to pomoc

zesmy nie mogli.

Natomiast jeśli chodzi o Litwinów - nie mogę tu nic dobrego o nich powiedzieć. Oczywiście nie można tego generalizować, nie można mówić tego o całym narodzie, mówić o takich pewnych odłamach tego narodu, który zdecydowanie kolaborował z Niemcami. Nigdy Polacy na taką skalę z Niemcami nie kolaborowali - to były wyjątki, jakieś poszczególne osoby, szmalcownicy i ludzie, którzy byli później przez podziemie likwidowani. Natomiast Litwini robili to masowo, ogromną żawą, masą. Została utworzona cała armia, Niemcy uzbroili ich i umundurowali pod dowództwem takiego generała litewskiego Plechawicza. Była to formacja utworzona specjalnie do zlikwidowania partyzantki polskiej, która działała na Wilenszczyźnie bardzo aktywnie. Ale słomotnie się to skończyło, bo oni wyruszyli w pierwszą taką akcję bojową przeciw partyzantce polskiej i zostali gdzieś przyłapani, otoczeni. Cały ten korpus Plechawicza rozebrano do białej bielizny i nawet poobcinano im guziki. Partyzanci potobili fotografie - jeszcze widziałam w pismach teraz ukazujących się te fotografie Litwinów Plechawicza z tymi białymi w garści kałesonami. W ten sposób zostali rozbrojeni i tak wrócili do Wilna. Niemcy strasznie byli na nich oburzeni i strasznie ich to rozwścieczyło. Wszyscy oni poszli na front wschodni, tak więc bardzo ładnie skończyła się ich działalność. Tego rodzaju akcje przeciwko Polakom oni robili.

Moje dzieciństwo w czasie okupacji niemieckiej ja właściwie wspominam zupełnie przyjemnie, nic wtedy nie było takiego przerażającego dla mnie ani groźnego. Tylko strasznie tragicznie wspominam likwidację getta i zagładę Żydów. Natomiast z takich przyjemnych rzeczy, które wtedy były - ponieważ mieliśmy fortepian w mieszkaniu, a Niemiec, który u nas mieszkał nie

wyrażał sprzeciwu, więc u nas odbywały się takie prywatne koncerty. W Wilnie był zaprzyjazzniony bardzo z moja mama pan profesor Szpinalski, który później był po wojnie znanym pianista. On wtedy potrzebował bardzo jakiejś pomocy materialnej, był w ciężkich warunkach. Organizowało się więc te koncerty, przychodzili ludzie, grał wtedy Szpinalski. Trochę z tego się zbierało pieniędzy. Były tego rodzaju akcje i to się wszystko razem jakos toczyło.

[Zakończyło się to wszystko w 1944 r., bo armia sowiecka już się wtedy zbliżała do Wilna. Myszmy byli wtedy na wakacjach pod Wilnem. Front zbliżył się do nas gdzieś w lipcu i rozpoczęły się z Niemcami bezpośrednie walki o Wilno. Z sowietami szła armia Berlinga. To było wtedy o tyle nieprzyjemne, że my byliśmy wtedy na wsi, w domach letniskowych. Wokół Wilna też były walki i trzeba było uciekać, kryć się w lasach. Nie wiadomo było, w którą stronę uciekać, bo tu strzelanina, tam strzelanina, nie wiadomo było gdzie ... Można się było gdzieś przesunąć i nagle znajdowało się w samym oku cyklonu, coś okropnego ! Myszmy przeżyli parę takich okropnych dni, takiego ~~więźni~~ beznadziejnego miotania się między walczącymi stronami, gdzie były chwile wręcz groźne.] Wraz z matką, siostrą i wujostwem byliśmy między scierającymi się stronami. Ale ocaleliśmy, nikt nie był ranny.

Natomiast Wilno bardzo w tym czasie ucierpiało, Wilno się paliło. Widzieliśmy z daleka pożary Wilna. Było ono bronione jakiś czas przez Niemców, potem jeszcze nasza partyzantka też usiłowała Wilno bronić. Ale w rezultacie Sowietci do Wilna weszli razem z tą armią polską. Dotarli bardzo szybko do nas pod Wilno. Już ich zobaczyliśmy po raz trzeci, to były już trzecia taka

okupacja sowiecka. Wtedy już stało się zupełnie jasne, że oni zabierają wszystkie wschodnie tereny, że już prawdopodobnie i Polska będzie w odpowiedniej orientacji i że nam będzie trzeba Wilenszczyznę i w ogóle nasze rodzinne strony opuszczać. To było rzeczywiście bardzo tragiczne, bardzo smutne. Pamiętam te wszystkie nastroje w domu i to przerażenie. Jakos na początku wszyscy starali się odsuwać te myśli od siebie, ale to już było nieuchronne.

[Zaraz, jak oni weszli - wyrzucili nas z naszego mieszkania na Witoldowej, w którym mieszkaliśmy od 1937 roku i przebyliśmy całą wojnę. To było duże, ładne mieszkanie, więc od razu oni zajęli je dla swoich jakichś tam potrzeb. Nam się kazano wyprowadzić, więc mama z dużym trudem znalazła mieszkanie właściwie już pod Wilnem, już na wpol w lesie. Było małe, w jakimś domku, jakies dwa pokoje.] Było to na Pośpieszce. Można było oczywiście tylko, część mebli zabrać, reszta rzeczy od razu została przez nich zabrana. Po prostu trzeba było to zostawić. Ja w tym czasie byłem w majątku dziadków pod Wilnem. Dziadek mój był już bardzo ciężko chory. Jak Niemcy się cofali, to mój stryj też się w tym czasie przedostawał w kierunku Polski i później w Prusach Wsch. spotkał się z moim ojcem, który był tam wywieziony na roboty. Obydwaj przedostali się tutaj do Briwnowa, a potem do Łodzi.

Natomiast dziadkowie siedzieli tam na wsi. Jak weszli już ci sowieci w 1944 r., to nie robili już żadnej takiej akcji wywożenia na Wschód, bo nawet nie mieli już wtedy żadnych możliwości technicznych organizowania wywozki. Byli sami w stanie wojny i nie mieli transportu. Nie mieli już wtedy zamiaru nikogo wywozić. Zreszta wtedy były już jakies układy sowiecko-polskie takie, że ci ludzie będą przetransportowani na zachód.

Dziadkowie tak samo musieli ze swojego domu usunac sie do jakiegoś oficyny, mieszkali juz bardzo skromnie. Wiedzieli juz, ze to wszystko trzeba bedzie opuszczac. Dziadek moj byl juz powaznie chory na raka i zmarl 1 XI 1944 r. Babcia została sama, wiec jej sytuacja byla bardzo trudna.

Natomiast my mieszkalismy juz w malym mieszkaniu i wraz z tym wujem Stanislawem Turskim, ukrywajacym sie w związku ze sprawa drukarni. Tak jak poprzednio ukrywal sie przed Niemcami, tak teraz musial ukrywac sie przed sowietami. Byl zagrożony, bo jak wiadomo dzialalnosc AK byla przesladowana. Zaraz zostal aresztowany gen. Krzyzanowski i cale AK-owskie dowodztwo i nie tylko dowodztwo. Zostali zeslani do obozu w Kaludze. Tak samo byli przesladowani wszyscy cywilni dzialacze AK-wscy. W tej sytuacji wuj mieszkal tam z nami przez jakis czas, zapuscil brode, zmienil nazwisko. Wraz z ciotka i matka wuja bytowalismy tam w trudnych warunkach. Ale wiedzielismy, ze jest to okres przejsciowy, bo musimy sie repatriowac. O tym sie wtedy mowilo juz zupełnie otwarcie, to byla juz wiosna 1945 r. Mieszkalismy tam juz zima, no to warunki byly juz bardzo wiejskie, ze tak powiem. Trzeba bylo zdobywac opal, a poniewaz to bylo w lesie, wiec wuj chodzil ze swoja siostrą, pilowali sosny w lesie. Sami potem cieli je pila na kawalki i wlekli do domu. W ten sposob zesmy palili, bo nie bylo innych mozliwosci. A mama moja nie pracowala juz w tym czasie w piekarni, ale w innym miejscu, na Antokolu w Wilnie w sklepie spozywczym. Sprzedawano w nim wszystko - i zywnosc i mydlo, byl to taki ogolny sklep. To sie w Wilnie nazywalo "ruta". To jest nazwa ziela, taka wlasnie nazwe mialy takie sklepy, jak dzis powiedzielismy ggesowskie.spoldzielnie, gdzie wszystko mozna bylo dostac, nawet kawior. Jak przychodzil z Rosji, to

wstapiali do tych sklepow. Nikt tego zreszta nie kupowal, bo nikt sie na tym na przedmiesciach nie znal. Mama pracujac w tym sklepie spozywczym zdobywala zywnosc i mysmy jakos sie wszyscy utrzymywali z tej zywnosci. Jakos tak bytowalismy w takim prymitywie. Nie bylo pradu, wiec oswietlalo sie mieszkanie lampami karbidowymi. Ja przez caly ten czas uczylam sie, normalnie przerabialam wszystkie klasy gimnazjalne. Juz wtedy bylam w trzeciej klasie. Tam na tej Pošpieszcza tez bylo tajne gimnazjum, prowadzone juz przez kogos innego, czesciowo przez ksiezy redemptorystow. Tam niedaleko byl klasztor ojcow redemptorystow i oni wlasnie prowadzili takie tajne gimnazjum. Z tym, ze wszystkich przedmiotow humanistycznych uczyli ojcowie - lacy, jezykow itd., natomiast matematycznych uczyla jakas nauczycielka.

Tak wiec rodzina byla taka wieksza, bo ci wujostwo Turscy i syn wuja, Stefan, z ktorym bardzosmy sie lubili, wiec bylo jakos przyjemnie. Duzo sie czytalo, duzo rozmawialo, zdobywalo sie troche ksiazek, nastroj byl bardzo sympatyczny.

Potem przeniesliemy sie do innego, troszke wiekezego mieszkania, tez tam w okolicy. Wlascicielami byli bardzo mili panstwo Skarżynscy, wiec z nimi tez stosunki byly takie bardzo przyjemne. [Ale wtedy calkowicie dojrzewal juz nie tyle plan, co koniecznosc wyjazdu do Polski.] Wuj moj chcial jak najszybciej ze wzgledow bezpieczenstwa wlasnego, ucieczki z sowieckiego kraju. Oni wszyscy - on z zona, matka i synem wyjechali chyba w maju albo czerwcu w 1945 r. Natomiast mysmy pozostali jeszcze cale lato. Bylo to troche takie oczekiwanie, ze moze sie cos zmieni, a moze nie bedzie trzeba... Sowiesci zreszta proponowali mojej mamie, aby zostala, ze po co wyjezdza, dostanie obywatelstwo sowieckie i moze w dalszym ciagu tam pracowac i mieszkac.

Dla nas wszystkich było oczywiste, że nie są to żadne gwarancje bo po pierwsze oni mogą znow nas zacząć wywozić, zresztą sprawdziło się to jak najbardziej, bo zaczęli później wywozić Litwinów. Ale nawet gdyby i nie wywozili nas, to było równoznaczne z jakąś deklasacją. I szkół polskich by już nie było, wynarodowieni itd. To było nieuniknione. I teraz jest taki konflikt, jakby pretensja ze strony ludzi, tych Polaków, którzy tam zostali. Ja się z tym zetknęłam, jak byłam w Wilnie i niejednokrotnie słyszałam a także korespondując z ludźmi, którzy tam zostali, że jakby do nas taki żal, że myśmy wyjechali, że myśmy ich tam zostawili. Przecież też mogli wyjechać, ale tak sobie wybrali. Ale myśmy naprawdę nie mieli żadnego wyboru, bo zostanie tam równało się po prostu jakiemu koszmarowi. w tym strasznym sowieckim systemie, który jednak był jeszcze gorszy, jeszcze groźniejszy niż to, co mieliśmy tutaj w PRL-u.

Trzeba więc było wyjeżdżać. Była to decyzja bardzo ciężka i trudna do podjęcia. Tutaj ze szczególnym podziwem patrzę na moją matkę, która naprawdę jakiegoś miała niebywale sily, bo na nią przecież spadała cała sprawa zorganizowania tego, Ja miałam wówczas 14 lat, babcia miała sześćdziesiąt parę no więc wszystko spadało zawsze na mamę. Ale to była jedna strona. Ale była i druga strona - gdzie odjechać? Niektórzy mieli tutaj rodziny, kogoś, kto mógł służyć mieszkaniem, przyjac. Owszem, mieliśmy tu rodziny, ale np. w Warszawie to byli wszystko ludzie zrujnowani i sami bezdomni, albo tulający się po Polsce. No w ogóle nie było takiej możliwości, że mogliśmy na kogoś liczyć. Trzeba było jechać w nieznane, Można sobie było dowolnie wybierać kierunek, nie było żadnych wskazań. Można było jechać, gdzie się chce. Dużo Polaków jechało np. do Białego stoku, licząc na to, że niedługo będziemy wracać i że to

bedzie blisko. Ale myśmy też nikogo w Białymstoku nie znali. Mama wychodziła z założenia, że raczej należy jechać na te tereny odzyskane, gdzie może być większa możliwość zdobycia jakiegoś mieszkania, jakiegoś osiedlenia się, bo Niemcy wyjechali i jest pusto. Natomiast do miast już dawniej zamieszkałych nie ma co jechać, bo tam nie będzie można dostać żadnego mieszkania. Nam nikt nie gwarantował żadnych mieszkań, żadnego lokum. Dostawiano nas tylko na tory do miasta, któreśmy sobie wybrali i naszym losem urząd repatriacyjny przestawał się interesować. Owszem były jeszcze jakieś stolówki, można było jeszcze przez jakiś czas chodzić na jakąś żupę, ale poza tym to koniec, trzeba było samemu znaleźć dach nad głową, pracę, wszystko. Więc nie było to takie proste.

Po różnych takich rozważaniach mama wybrała Gdansk. Wiedząc, że Gdansk jest dużym miastem, zawsze chciała znaleźć osrodek, w którym ja mogłabym się kształcić, w razie czego aby była pomoc lekarska dla babci, szpitale, uczelnie, a jednocześnie możliwość znalezienia mieszkania.

Rzeczywiście pod tym względem trafiła bardzo celnie, z tym, że Gdansk był całkowicie zniszczony, spalony. Jeszcze bardziej, niż Warszawa. Właściwie możliwość znalezienia tam mieszkania była żadna, ale nie tak dosłownie, bo to Gdansk był zniszczony, ale miał swoje peryferie - był Sopot, Gdynia, Oliwa, które były dużo mniej zniszczone. A np. niektóre dzielnice Gdanska, jak Rumia, nie były w ogóle prawie zniszczone., w każdym razie dużo mniej. Jednym słowem jako punkt docelowy wybrała mama Gdansk i myśmy się tam repatriowali.

[Wyjazd był bolesny, smutny, myśmy sobie zdawały sprawę, że tracimy cały dorobek życia.] Już straciliśmy gros w trakcie tych wszystkich wojennych kolei, tych etapów - i jedno mieszkanie itd.

Ale tu chodziło o utratę rodzinnej ziemi, miejsca, gdzie już człowiek się wziął, wrosł. Poza tym dochodził lek przed tym nieznanym, przed tym zupełnie obcym światem. Trzeba było na nowo się urządzać, a nie wiadomo było jak i za co. Poza tym trzeba było dokonać jakiegoś wyboru rzeczy, które można było ze sobą zabrać. oraz te, które trzeba było zdecydowanie zostawić. Dlatego że w ogóle praktycznie rzecz biorąc do tych wagonów, w których jechało po dwadzieścia parę osób w jednym wagonie towarowym - no ile mogło się zmieścić rzeczy poza tymi ludźmi? Wciąż praktycznie żadnych mebli, żadnych tego typu rzeczy zabrać nie było można. Jednak mojej mamie udało się zabrać parę mebli, które zdołała przewieźć. Organizowała to dzięki temu, że udało się nam dostać do tzw. wagonu sanitarnego, izolacyjnego, również towarowego, który był przeznaczony dla lekarzy i dla chorych. I tam byli chorzy, była tam jakaś chora osoba. Tylko, że tam było więcej miejsca, mniej osób. Mama miała znajomych lekarzy, którzy razem jechali, poznała też rodzinę lekarki, która razem w tym wagonie jechała. Jakos myśmy się do tego wagonu dostały i dzięki temu można było zabrać trochę tych rzeczy.

[Wyjazd miał miejsce 22 września, to była sobota. Było stosunkowo ciepło, nawet stosunkowo pogodnie. Pamiętam dobrze okropny okres pakowania w domu. Część rzeczy zostało, książek i najrozmaitszych przedmiotów, które były lubiane i potrzebne. Dłuższy czas mieszkaliśmy na skrzyniach, bo trzeba było czekać. Nie było to przecież zgodnie z rozkładem jazdy, że się wsiadało i jechało. Trzeba było czekać na kolejność transportu. Byliśmy zapisane na transport, mieliśmy numer transportu 66. Trzeba było czekać na zawiadomienie o terminie odjazdu tego transportu ale trzeba było być gotowym.] Trzeba to było zrobić wcześniej a potem mieszkać w takim okropnym oczekiwaniu.

Jak już się jakos władowaliśmy do tego wagonu, to później trzeba było jeszcze w tym wagonie odstac jakiś czas, dzień, czy dwa, nim się wreszcie ruszył z tego miejsca. Ale to też nie wiadomo było, kiedy pociąg ruszy. Pamiętam doskonale ten moment, kiedy wreszcie ruszyliśmy i ja wiedziałam doskonale, że już wyjeżdżamy. To było jakos nad ranem, może godzina 4, albo 6 rano. Pamiętam, że ja byłam w takim polnie i poczułam szarpnięcie tego wagonu. Ja wtedy wyjechałam z Wilna na 40 lat. Byłam ponownie w Wilnie dopiero w 1989 roku! W międzyczasie nigdy do Wilna nie jeździłam, nie było nigdy takich okazji, możliwości. I nawet nie było jakiegos specjalnej ochoty, bo wiadomo było, że to wszystko jest tak zmienione i tak inne i tak przykre do oglądania, że nie wszyscy w ogóle mieli chęć to oglądać. Ja po swojej bytności tam przed dwoma laty, to nawet jestem zadowolona, że byłam, że widziałam. Chętnie bym pojechała jeszcze raz, aczkolwiek jest już odczucie całkowitej obcości i czegoś innego. Ale to, co zobaczyłam tam na wsi - byłam pod Wilnem w Kwitniewie w majątku moich dziadków - to było coś tak przerażającego i tak tragicznie smutnego, że wolałabym właściwie tego nie oglądać. Mój stryj chciał tam pojechać ale jak mu powiedziałam, co on może tam zastać, to on się wycofał z tego projektu. To są takie impresje, dlatego też nie każdy ma ochotę to oglądać.

A jeszcze wracając do tej podróży. [Mysmy w sumie jechali, cała nasza podróż do momentu opuszczenia wagonu trwała 2 tygodnie. Z tego samej jazdy było około chyba tygodnia i około tygodnia stania na torach w Gdanku i poszukiwania mieszkania.] Bo tak jak mówiłam, nas dostarczano tylko do miejsca przeznaczenia i nikt się już więcej nami nie interesował, z tym, że można było jeszcze jakiś czas mieszkać w wagonach, nim się nie

znalazło mieszkania.

Natomiast sama droga obfitowała, jak to zazwyczaj bywa w rozmaite dziwne przygody i zdarzenia. To znaczy ja z punktu widzenia dziecka na pewno inaczej to odbierałam, niż ludzie dorośli, na których spoczywał ciężar i ugotowania jakiegoś jedzenia i zdobycia jakiejś wody. Ja raczej pewne rzeczy traktowałam jako przygodę. Może mnie to nawet bawiło, ciekawiło, bo to była przecież była eskapada, adczkolwiek odczuwałam całą grozę i smutek i straszny prymityw przede wszystkim tej jazdy.

Z nami jechała jakaś pani, która się ukrywała przed władzami sowieckimi, która jechała zupełnie na czarno, nielegalnie, bez dokumentów. Kiedy przychodziły jakieś kontrole ona się chroniła za paki, w jakieś dziury w wagonie. Nie chodzili tak dokładnie i nie sprawdzali, tak że ona się w ten sposób przekradła. Dojechała i nikt jej nie aresztował. Potem w drodze mieliśmy jeszcze jakiś przeladunek z wagonu do wagonu. Nie należało to też przecież do specjalnej radości.

My mieliśmy tapczan zabrany ze sobą dosyć duży i na tych pakach i rozmaitych skrzynkach i tobołkach był ułożony ten tapczan na wierzchu, wysoko, pod samym sufitem tego wagonu. Myśmy na tym tapczanie spali pokotem przez te dwa tygodnie prawie się nie rozbierając. Musieliśmy się tam wdrapywać, oczywiście żadnych drabinek czy czegoś takiego nie było, więc trzeba było po tych pakach się wspinać. Dla mnie to nie było żadnym problemem wtedy, ale wyobrażam sobie, że dla osób starszych to na pewno był problem. Myśmy tam spali, a w drugiej części wagonu rodzina doktor Szumskiej. Były jeszcze jakieś prymusy. Nie wiem, czy jest to powszechnie znane urządzenie. To jest taka maszynka na denaturat, która się rozpala, potem pompuje, palniczek jest a w środku jest nafta.

Na tych prymusach sie gotowalo jakies jedzenie. Jak tylko byl postoj, to natychmiast z jakimis garnkami wszyscy lecieli do lokomotywy po goraca wode, bo byla tam goraca woda i kolejarze ja dawali. Natomiast nigdy nie bylo wiadomo, jak dlugo bedzie trwal postoj. Ale ludzie mimo to ryzykowali. Jak tylko pociag zatrzymal sie na jakiejis stacyjnec, to natychmiast ludzie wysiadali i rozkladali na peronie ogniska, robili cos do jedzenia. Jeszcze my mielismy stosunkowo wiecej miejsca, ale w innych wagonach byl piekielny scisk, wiec zeby cos ugotowac, cos cieplego zrobic, to ludzie korzystali z jakichs okazji postoju i od razu starali sie cos ugotowac, cos zrobic. Ale to czasem sie tragicznie konczylo, bo ten pociag zmienacka ruszal. Bez zadnego uprzedzenia. Ludzie w pospiechu wskakiwali, wrzucali wszystko, gorace garnki i goniac ten pociag ladowali'sie z powrotem.

Jechalismy przez Litwe. Byla stacja graniczna Wierzbolowo, nie pamietam, czy bylo to przy granicy z Prusami. Bylo tam sprawdzanie dokumentow. Wczesniej jechalismy przez Kowno. Potem wjechalismy juz na teren dawnych Prus Wschodnich i jechalismy przez Olsztyn, Ilawe, a pozniej przez Torun, Bydgoszcz. No, ale najpierw byly te Prusy Wschodnie. Jak tam przyjechalism - to byla to zupełnie ziemia wymarła. Bo jeszcze na Litwie, to normalnie byli ludzie, natomiast tutaj wrazenie zupełnie przerazajace. Mimo tego, ze byl to juz koniec wrzesnia poczatek pazdziernika, to stalo nieskoshone zboze. Tam przeszły walki, front i Niemcy, cala ludnosc cywilna zostali wyrzuceni. Te miasteczka, przez ktore jechalismy i w ktorych zatrzymywalismy sie, to byly zupełnie martwe, wyludnione miasteczka. Moze gdzie po jakichs piwnicach czy w jakichs bunkrach jacys ludzie siedzieli, ale nie pokazywali sie. Jak maszynista powiedzial, ze

jakis czas bedzie stal, to odwazniejsi wchodzili do jakichs domkow, ktore byly wokol stacji. Nigdzie zywego ducha, tylko najwyzej trupy znajdowali, niepogrzebane. To tak, to sie znajdowalo, ale poza tym nikogo. Nigdzie oczywiscie o jakims sklepie, o mozliwosci kupienia czegos nie bylo mowy. W zasadzie trzeba bylo jesc to, co sie zabralo z Wilna, no bo po drodze nie mozna bylo nic kupic, w nic sie zaopatrzyc. Poza goraca woda z parowozu, to nic.

Pamietam, ze dojechalismy w ten sposob do Olsztyna. Tam stacja byla calkowicie zrujnowana, rozbita, nie bylo tam nic. Bylo tylko paru polskich kolejarzy. Dalej do miasta nie bylo czasu chodzic, ale to miasto tez przedstawialo obraz takiego wyludnionego. Iżawa byla zupełnie wyludniona. Natomiast jak wjechalismy juz na teren Torunia, Bydgoszczy, to juz zupełnie co innego. Tam bylo juz jakies zycie, mozna tam bylo moze nawet cos kupic do jedzenia. Jakies pieniadze mielismy, wymiane dostalismy wyjezdzajac z Wilna.

W ten sposob dojechalismy do Gdanska. Z tym, ze nasza podroz zaliczala sie do podrozy bardzo dobrych i szybkich. Niektore transporty jechaly duzo dluzej, po pare tygodni taka sama trasa, a mysmy wlasciwie tydzien jechali. Jechalismy w krytych wagonach, co tez bylo wielkim dobrodziejstwem, bo byly transporty, ktore na lorach jechaly pod golym niebem, bez zadnego dachumnad glowa. W bardzo roznych warunkach atmosferycznych, zreszta w najcieplejsze lato nawet tez deszcz czasami pada. Tak ze mysmy wyszli jeszcze obronna reka.

[No, ale jak przyjechalismy do tego Gdanska - to tam byl zupełnie przerazajacy widok. Odstawili nas gdzies na boczne tory, niedaleko rzeka, wiec na pewno byla to Radunia. I kompletna pustka, kompletnie wymarłe, puste miasto. Zadnych ludzi, ruiny.] Byli oczywiscie jakys kolejarze, zarzad w mieście,

Cos już było, ale na ulicach nic nie było, bo to była ruina. Kompletnie, zrujnowane miasto. Tylko roje szczurow ! Okropne ro dla nas było. Z rzeki, z kanałów wylazily masy szczurow, które zupełnie bez żadnych leków w dzień koło nas lazily i balansowały na poręczach. Nie mówiac już o tym, że w tym okresie byliśmy już wszyscy zawszeni, po tylu dniach takiej podróży. To wszystko było koszmarnie.

Teraz rozpoczął się najgorszy etap koszmaru, bo trzeba było gdzieś szukać mieszkania. Moja mama i ci, którzy z nami przyjechali wychodzili praktycznie na cały dzień szukać w Gdańsku mieszkania. Wracali po całym dniu ledwie żywi ze zmeczenia, przeważnie z niczym. Znalazło się wreszcie jakieś mieszkanie i myśleliśmy, że będziemy się przeprowadzać do Oruni. Ale w międzyczasie dr Szumska, z którą razem jechaliśmy, wypatrzyła o coś tam gdzieś w Oliwie. Bo już w tym czasiei bardzo dużo Polaków do tych dalszych okolic jak Sopot, Oliwa już przyjechało. Więc już te poniemieckie i rozmaite lepsze domy były pozajmowane.

[W Oliwie dr Szumska i mama znalazły w jednym domu dwa mieszkania - jedno na parterze, które zajęła ta pani doktor, a drugie na drugim pięttrze. Było to bardzo mile, bardzo sympatyczne trzy-pokojowe mieszkanie, tylko było ono bardzo zrujnowane. Nie było szyb w oknach, drzwiczek w piecach, zdewastowana była kuchnia węglowa. W jednym pokoju była ogromna dziura w suficie na wyłot, bo nad nami był już dach, w którym też była dziura. Tak więc w jednym z tych pokoi było nad nami gołe niebo.

Tym niemniej mama zdecydowała się wziąć to mieszkanie, bo dwa pokoje były od razu do zamieszkania, ten z dziurą - była nadzieja że z czasem się te dziury w dachu zalata. A że nie było szyb - nie było ich prawie nigdzie, więc nie było się co tam specjalnie tym martwić. Trzeba się było po prostu gdzieś wyladować.]

To mieszkanie w sumie okazało się bardzo przyjemne, bardzo mile, Oliwa w ogóle jest słicznym miejscem. Tyko tylko, że okres pierwszy był bardzo trudny, bo zrobił się już październik, zrobiło się już zimno, więc mieszkanie bez szyb było bardzo uciążliwe. Okna te zapychało się jakimis przywiezionymi dywanikami, poduszkami i w ten sposób się mieszkało. Poza tym nie było żadnego opalu, a robiła się zima. Trzeba było też szukać jakiejś pracy. Mama znalazła ją w jakimś urzędzie, natomiast gorzej było z takimi sprawami, jak okna. Jakos się szczęśliwie złożyło, że w tym urzędzie repatriacyjnym ludzie się spotykali, odnajdywali się ludzie z różnych transportów i różnych stron. W ten sposób mama odnalazła naszą daleką krewną i znajomą, miłą panią z Wilna, która nie miała się gdzie podziac. Mama jeden z tych dwóch pokoi jej odstąpiła. Ona była architektem z zawodu i zaraz zaczęła pracować w takich jakichś instytucjach właśnie odbudowy, bo to się natychmiast tworzyło. I ona dostała stosunkowo szybko przydział na szkło, bo szkło też było na przydział, nie można było kupić sobie gdzieś szyby, tylko trzeba było dostać specjalny talon. Ona dostała nie na całe szyby, tylko na takie kawałki szkła. Ale ponieważ to nie były duże okna, jak dzisiaj się buduje, więc się jakos z tych kawałków szkła te szyby kombinowało. W jednym oknie pamiętam szyba była z takich paseczków nakładanych jeden na drugim.

Później była okropna historia z opalem, nie było opalu. Potem się okazało, że u kolejarzy na dworcu można czasem kupować węgiel. Ale trzeba go jakos dotaszczyć do domu. Na szczęście to nie było zbyt daleko, myśmy mieszkali stosunkowo blisko od stacji. Myśmy obydwie z mamą chodziły po ten węgiel, gdy zaczęła się zima, że z sankami, albo z jakimś koszem. Kupowało się od tych kolejarzy ogromne kawały węgla, że we dwóch z trudem

mogly uniesc taka bryle wegla i taszczylyśmy to do domu. W ten sposob sie jakos palilo. Tego bylo za malo i pierwszej zimy mialyśmy normalnie szron na scianach.

Okazalo sie po paru tygodniach, ze do Oliwy przyjechali tez moi stryjostwo z Wilna, Michalostwo Bochwicowie, ktorzy tez jechali tak jak my w nieznane i w sposob zupełnie przypadkowy okazalo sie, ze losy nas zetknely. Oni tez znalezli sobie jakies mieszkanko w Oliwie. Juz jak oni sie znalezli, to zrobilo sie juz jakos latwiej, razniej. Pozniej zima jeździliśmy w okoliczne lasy, gdzie bylo wycinane i sprzedawane jakies drewno, ktore na sankach wozilyśmy w wiaskach polan. Tym tez sie troche palilo, ale to wszystko w sumie bylo bardzo trudne.

Miasto sprawialo na nas wrazenie zupełnie obcosci. Kulturowo, inny styl zabudowy, to oczywiscie tak. Ale Gdansk nie istniał wcale, w Oliwie bylo troche tej zabudowy, no oczywiscie ona byla zupełnie inna, przewaznie wszedzie tzw, pruski mur, belkowane jakies mury. Ale to nawet bylo dosyc ladne. W ogole Oliwa byla ladna. Zawsze nam sie podobalo od razu w tej Oliwie, tyle tylko, ze tam nie bylo wcale zadnego miejscowego srodowiska, to byl wszystko element naplywowy. Niemcow prawie nie bylo, bo te osoby zostaly od razu usuniete, bardzo szybko sie same repatriowaly, zmuszone do repatriacji do Niemiec, z kolei na Zachod.Gdanszczan, Polakow z dawnej polonii gdanskiej, tych tzw. autochtonow, to juz byly na placach liczone jednostki, bo oni byli przewaznie wyniszczeni przez Niemcow. Kaszobow, cos, ich prawie nie bylo. Zrobil sie wiec taki zlepek ludzki z ludzi, ktorzy poprzybywali glownie ze Wschodu i nie tylko - i z Warszawy, ktora byla spalona przeciez i roznych innych miejsc Polski. Tak ze to tworzylo sie wlasciwie zupełnie nowe zycie. Tyle tylko ze to bylo naturalnie ogromnie obce, inne, strasznie trudne i ciezkie. Szczegolnie dla nas, bo bylismy same i wcale nie bylo

łatwo sobie w tym czasie radzić. Mama pracowała cały czas, ale zaczęły się też i choroby, bo i od tych ciężkich warunków, może też zimno - różne zaziębienia. Potem mama zachorowała na zakaźną żółtaczkę, potem zaraz ja od niej się zaraziłam i miałam też żółtaczkę. To były więc groźne choroby i bardzo, bardzo trudne wtedy do opanowania, do wyleczenia. Tak że to był okres bardzo, bardzo ciężki w życiu. A później z każdym rokiem to życie zaczynało się normalizować. Powstało w Oliwie gimnazjum, do którego ja chodziłam i tam już zdałam maturę i mala i później normalna. Zaczęłam udzielać młodszym dzieciom jakichś korepetycji, w ten sposób też troszeczkę sobie zarabiałam.

Warunki materialne były cały czas bardzo trudne, bardzo ciężkie.

Rodowód się w tym czasie po prostu ukrywało. Nie mówiło się o tym. Nikt tam nas nie znał, nic o nas nie wiedział, więc jeżeli się samemu nic na ten temat nie powiedziało, to w zasadzie nie było możliwości, aby ktoś o tym wiedział.

Pierwszy taki moment groźniejszy rozpoczął się, gdy zdawałam na studia. Dopiero wtedy, to był w ogóle okres już stalinowski.

[Ja] zdawałam na studia w 1949 r., pierwszy mój rok to był 1949/1950, więc to był bardzo groźny okres. Wtedy trzeba było przedstawić zaświadczenie o pochodzeniu społecznym. Mama moja wtedy najpierw pracowała w przemyśle futrzarskim, była jakś księgowa, przyuczała się i jakos pracowała. Później pracowała w Radach Narodowych w Gdansk. Musiała wtedy dostać jakieś zaświadczenie, bo trzeba było je przedstawić, z miejsca pracy rodziców. Mama poszła do swego personalnego i mówi mu, że będzie potrzebne takie zaświadczenie o pochodzeniu dla córki, bo będzie zdawała na uczelnię. No więc on się pyta - a jakie pani chce pochodzenie? A mama mówi - no chyba inteligencja pracująca. A on mówi - takiego, nie ma, robotnicze, albo chłopskie, jakie pani chce?

Wiec mama mowi - chlopskie juz. I on napisal ! I takie zaswiadczenie ja otrzymalam i z takim zaswiadczeniem poszlam zdawac na politechnike, ja skonczylam politechnike. Po prostu nikt dalej tego nie badal, nie drazyl tego tematu, jak to tam bylo. Trzeba bylo zdac egzaminy i ja sie juz w pierwszym podejsci na te politechnike dostalam. Dalej juz normalnie studiowalam]
To znaczy, to tez byly rozmaite juz dalej trudne chwile na tych studiach, poniewaz i w szkole i na studiach ja jakos nie ukrywalam swoich przekonan. Nie chwalilam sie swoim pochodzeniem, moze nie tyle dlatego, zebym sie bala specjalnie, bo w moim wczesnym wieku ludzie sie raczej nie boja, ale ja nigdy specjalnie tego nie podkreslala, zeby nie uchodzic moze za jakas snobke. Mogloby sie to komus wydawac przykre, ze ja to podkreslam. Raczej z tych wzgledow, nie z jakiegos leku. Zreszta do tej pory tak raczej postepuje, to znaczy nie ukrywam tego nigdy w swiecie, ale moze w tym rozmawiac z ludzmi, ktorzy sie tym interesuja.

Nieukrawanie swoich przekonan lezalo zawsze w moim charakterze od samego poczatku, jak zaczelam myslec, jak zaczelam miec swoje zdanie i postawe. To zawsze w czasie studiow tez istnialo. I jezeli cokolwiek, to to bylo grozne i bardzo nawet w pewnym momencie niebezpieczne, ale to byla moja postawa, To znaczy ja nie nalezalam do zadnych (nie wiedzialam w ogole, zeby istnialy, moze istnialy, ja z nimi nie mialam kontaktow jakichs) nielegalnych organizacji mlodziowych. Natomiast mialam zawsze grupe mlodziy i ludzi myslacych podobnie jak ja, specjalnie sie z tym nie ukrywajacych. A w tamtych czasach juz samo to zwracalo uwage i juz sie wydawalo podejrzan.

[Poza tym w miedzyczasie wydarzyla sie w naszym zyciu bardzo tragiczna historia. Mianowicie moja mama, ktora tez cale zycie

tez własnie dzialala niezgodnie z tym, co nakazywalo to prawo jakiejś okupacji - w czasie wojny byla zwiazana z AK, a po wojnie zaraz w Gdansku trafila do takiej organizacji, ktora ulatwiala uciezke za granice, nielegalna, ludziom, ktorzy chcieli z rezymu uciekac. W Gdansku to sie odbywalo w ten sposob ze ludzi poprzez siatke zorganizowana umieszczalo sie w rudowych lowcach, ktore kursowaly miedzy Gdynia, Gdanskim a Szwecja. Ludzie ci uciekali zasypani w jakichs lukach pod węgłem. W ten sposob wiele ludzi sie uratowalo. I ludzi zupełnie cywilnych, ktorzy chcieli po prostu uciec z rezymu, ale i ludzi bardziej zaangażowanych i zwiazanych z Mikolajczykiem. [M.in, tymi drogami uciekal Korbonski. Miedzy innymi osoby zwiazane z mama ulatwialy uciezke Korbonskiemu i za to siedzialy potem dlugie lata w wiezieniu. sowieckim, to znaczy tym niby to naszym. To wygladalo własnie w ten sposob. I moja mama wpadla.] Po prostu w tej siatce znalazl sie prowokator. Jeden z lacznikow, do ktorych sie chodzilo (konkretnie chcieli uciec nawet moi wujostwo, bo szereg rodzin tez ta droga ucieklo do Szwecji) okazal sie konfidentem. I juz pozniej nie bylo zadnej mozliwosci ani uciezki, ani odwrotu, bo ten ktos poszedl i wskazal. [Przyszli do nas do domu i mame w domu arestowali.] Nawet nie bylo sie jak z tego wymigiwac. To byl moment bardzo tragiczny, byl to rok 1951. Wtedy arestowanie i trafienie do wiezienia moglo sie skonczyc wrecz tragicznie. Bylo to w trzy lata po smierci mojego wuja, o ktorym wspominalam, Mirosława Nowickiego, ktory w 1948 r. zostal przez UB zamordowany. za dzialalnosc antykomunistyczna. Ja nawet nie wiem, czy jego rodzina byla kiedyś ziemianska, w kazdym razie na pewno pochodził z inteligencji, ale tego dokladnie nie wiem. On byl prawnikiem, prokuratorem,

[Mama zostala wiec arestowana, ale dzieki niebywale wprost

szczęśliwemu zbiegowi okoliczności do procesu nie doszło. Mama po trzech miesiącach została zwolniona. Ale tutaj muszę powiedzieć, że nie wiem, zupełnie nie wiem, jak się to stało. Ja byłam wtedy na studiach, groziło mi wtedy wyrzucenie za to ze studiów. Za taką rzecz wylatywało się z uczelni natychmiast. Byłam na I roku, miałam stypendium, które było wtedy jedynym źródłem utrzymania. Mama została aresztowana, a babcia miała małą emeryturę. Ja miałam kolegę na studiach (był wtedy bardzo dużo bardzo dziwnych ludzi na studiach), który był prokuratorem w prokuraturze wojskowej. W każdym razie był w randze pułkownika. W jakim charakterze był on u nas studentem - nie wiedzieliśmy, najwyżej mogliśmy się domyślać. Był od nas dużo starszy, miał wtedy czterdzieści parę lat, my mieliśmy po dwadzieścia, ja miałam wtedy nawet niecałe dwadzieścia. Chodził w mundurze prokuratury wojskowej z takimi czerwonymi naszywkami. Wydawało się jednoznacznie kim on jest i po co on jest. I on się w jakiś dziwnie narzucający sposób zbliżył do naszej grupy, w której byliśmy taka grupa opozycyjna. Oczywiście ja starałam się w pierwszym rzędzie przed nim ukryć to, że mama jest aresztowana. Ale mama była aresztowana przez prokuraturę wojskową, tam była mamy sprawa. I w pewnym momencie ten pułkownik sam do mnie przyszedł i powiedział, że on wie, że mama jest aresztowana i że ta sprawa jest gdzieś tam u niego. No więc w tym momencie ja mu tylko powiedziałam, że jedyne o co mogę teraz prosić, to żeby jakos mi pan pomógł. I on na to mi powiedział - ja zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, żeby pani pomóc. I on mi chyba pomógł, dlatego, że ta sprawa wyszła przedziwnym sposobem z prokuratury wojskowej i trafiła do sądu wojewódzkiego, gdzie została po prostu jakos szybko zlikwidowana i umorzona. Mogę więc chyba powiedzieć,

ze to jemu zawdzięczam. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć. Jeszcze dalej powiem, chociaż może to nie na temat, ale to ciekawa historia. Okazuje się, że ten prokurator (znaczy się nie wiem, czy on był prokuratorem, on był pułkownikiem) był księdzem, potem się okazało. To była jedna z najdziwniejszych historii, jakie w ogóle miałam w życiu. A na to, że on był księdzem, to trafiłam zupełnie przypadkowo będąc przed laty w kościele garnizonowym już w Warszawie na Długiej, jak już byłam mężatka i mieszkalam w Warszawie. Chodziłam często do kościoła garnizonowego na Długa. Tam ja jego spotkałam odprawiającego msze ! Początkowo nam się wydawało to niemożliwe, mój mąż nie chciał w to wierzyć. Nie znalazł go przecież, mój mąż ze mną nie studiował, twierdził, że jest to jakaś mistyfikacja. Potem przyjechała moja mama, myśmy poszły razem do kościoła, obie go zobaczyłyśmy i już nie było żadnych wątpliwości, że to jest tenże pułkownik. Tym bardziej, że ja go znalazłam bardzo dobrze, bo on się stale przychodził do mnie uczyć. On zdawał egzaminy i skończył studia. Chciałam nawiązać z nim kontakt, ale jak on mnie rozpoznał - uciekł ! Jak ja go obserwowałam w kościele, to on mnie nie widział. Aż w końcu kiedyś, jak ja czekałam na jego wyjście i jak on mnie zobaczył, to zaczął biec i uciekł. ! I więcej się już w tym kościele nigdy nie pokazał. Ja już go więcej w życiu nie widziałam. Nie wiem, wątpię, czy on żyje teraz, bo przecież był on ode mnie dużo starszy, więc on by dzisiaj miał z osiemdziesiąt parę lat. Tak więc taka to była historia.

Ale dość, że mama moja z tego więzienia wyszła po trzech i pół miesiącach. Przed końcem roku mama do domu wróciła, ale na pograniczu cudu była ta historia. W więzieniu też tam przeszła rozmaite ciężkie chwile.

Na uczelni zabrali mi tylko stypendium. Ale potem mi to stypendium przywrócili. Nie wiem, czy to było związane z tym aresztowaniem, to trudno mi dzisiaj powiedzieć, ale tak to wtedy na to wyglądało.

Mama po wyjściu z tego więzienia jakos prace dostała i jakos tam sobie dalej radziliśmy. Ja dalej studiowałam, nie było jakichs większych przeszkód.

[W Warszawie znalazłam się dopiero, jak skończyłam studia i wyszłam zamaz.] Po skończeniu studiów dostała tzw. przydział pracy, bo to wtedy były przydziały pracy, i zaczęłam pracować przez jakiś czas w Poznaniu, dokąd miałam skierowanie. Przedtem poznałam mojego późniejszego męża na praktyce w czasie studiów, ponieważ mąż był tej samej profesji. Ja studiowałam na wydziale chemii technologii żywności, mąż też miał ten rodzaj studiów. Ja byłam na praktyce w zakładach mięsnych w Toruniu, gdzie on już pracował. Tam myśmy się poznali, wyszłam za mąż i wtedy dopiero przyjechałam do Warszawy. W 1953 r. zamieszkałam w Warszawie. Ale przez całe późniejsze życie byłam bardzo, związana z Gdanskim, ponieważ mama moja mieszkała tam do śmierci, babcia zmarła w 1961 r., później mama mieszkała tam sama już, no i mama zmarła w 1981 r. już tutaj w Warszawie, bo chorowała poważnie i leczyła się tutaj w Warszawie.

Rodzinnym miastem jest dla mnie Wilno, z tym, że do Gdańska też jestem bardzo przywiązana. No bo jednak jest to kilkadziesiąt lat mojego życia. Bardzo lubię Gdansk, ogromnie jestem z nim związana. Moja córka się zresztą w Gdańsku urodziła. Ale największe, najczulsze takie wspomnienia wiąza mnie z Wilnem, z Wilenszczyzną i również z Białorusią, bo moja rodzina pochodzi z Białorusi. Cały nasz trzon rodzinny wywodzi się z Białorusi. W Wilnie ja się znalazłam w ten sposób, że rodzice

rozeszli się przed wojną i wtedy wyjechalismy do Wilna.

O Wilnie myślę bardzo dużo, bardzo często myślę o Wilnie. Jest to tęsknota, ale połączona ze świadomością, że ja tam już nigdy nie wrócę. Dla mnie tam już nie ma żadnego miejsca i możliwości powrotu, w sensie znaczy powrotu, żeby tam zamieszkać. Jest to tęsknota połączona z rezygnacją. Tym bardziej że jest to dla mnie jeszcze tym bardziej przykre, że taka niechęć otoczona jest tam nasze pojawianie się, że ci Litwini tak niechętnie patrzą na Polaków, na przyznawanie się ich do miłości do Wilna, do czucia się w Wilnie we własnej ojczyźnie. Uznają to za jakies zagrożenie dla siebie, że nie chcą nawet na ten temat rozmawiać. Słyszałam o takich wypadkach, że jak Litwini przyjeżdżają do Polski i widzą obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej na ścianach bardzo się dziwią, dlaczego to Polacy wiedzą ją u siebie Matkę Boską Ostrobramską. Tymczasem dla mnie przez całe moje życie zawsze wszystkie pamiątki wileńskie, Matka Boska Ostrobramska, wspomnienie Wilna, jakas nawet palemka wileńska, wszystkie fotografie związane z moim dzieciństwem to są najdroższe, najmilsze dla mnie wspomnienia, pamiątki najczulsze, najbardziej bliskie memu sercu.

Wilno zawsze mi się kojarzy z miejscami, w których mieszkałam i gdzie najczęściej chodziłam. Pamiętam doskonale Wilno, bo jak teraz znalazłam się tam w 1989 r. to od razu te wszystkie ulice stare, dawne, były mi bardzo znajome. Ja mieszkałam na Zwierzynku, to była taka dzielnica Wilna, jak Żoliborz, czy coś takiego, w każdym bądź razie taka jakby już poza centrum miasta, ale bardzo niedaleka. Trzeba było przejść przez Wilie, ul. Miskiewicza, która się kończyła właśnie Mostem Zwierzynieckim i przechodziło się na ten Zwierzyniec. Więc ten Most Zwierzyniecki przez cały okres dzieciństwa, później młodości stale mi się snił w jakimś

sposob. W snach czesto znajdowalam sie na tym Mostie Zwierzy-
nieckim, bo czesto, jako dziecko chodzilaam przez ten most.
I teraz, jak pojechalalam do Wilna, to pierwsze moje kroki byly
na ten most, zeby znowu sie tam znalezc. Bardzo sie on malo
zmienil, wlasciwie prawie wcale, bo on nie byl zniszczony.
No, troszke inaczej jest Wilia uregulowana. Za mojej pamieci
Wilia miala takie naturalne brzegi, teraz jest koryto ujele w
jakas kamienna obudowe.

Byl taki okres, ze Wilno snilo mi sie bardzo czesto.
Teraz juz moze rzadziej. Ja jestem zwiazana nie tylko z samym
miastem, ale ogromnie, przeogromnie zwiazana z majatkiem moich
dziadkow, z Kwietniewem, ktory jest pod Wilnem. Niedaleko, bo
to jest 13 km od Wilna. Tam tez w ogromnej mierze lokuja sie
moje wspomnienia, bo to jest kawalek zycia tego dworskiego,
ziemianskiego zycia, ktorego ja niewiele, ale jednak troche
pamietam sprzed wojny i w czasie wojny ono jeszcze bylo tez
kultywowane i jakos tam przedluzone. To sa takie bardzo ulotne
rzeczy, to tak nawet trudno moze powiedziec, ale to mi zostalo
z wczesnego dzieciinstwa na cale zycie. Ale to jest juz np. w
sferze zapachow, w sferze smakow pewnych, w sferze jakichs
skojarzen muzycznych, w sferze jakiegos ustawienia jakichs
rzeczy, mebli, ktore na zawsze mi sie zwiazaly z domem moich
dziadkow. Pejzaz tez, zreszta ja mam tutaj nad lozkiem cala
ogromna koleksje fotografii, z ktorych niektore sa z Kwitniewa.
Jezeli chodzi o pejzaz, to jest wlasnie taki stawik niedaleko,
za domem, i zaraz las. To jest fragment parku i kort tenisowy,
tutaj wlasnie moi rodzice, dziadkowie i stryjostwo stoja.
To jest na polu w czasie zniw przy snopkach. W ogole Wilen-
szczyzna jest bardzo piekna jesli chodzi o pejzaz, wlasnie taka
pagorkowato-lesista z jeziorkami. Tylko ze teraz to jest juz

wszystko wspomnienie tylko. Ja tak nie jeździłam po Wilenszczyźnie, specjalnie więc nie mam już dziś takiej skali porównawczej jak to jest, ale wydaje mi się, że to wszystko zostało poniszczzone. Bo to, co ja zastałam tam w majątku moich dziadków, to trudno sobie wyobrazić, że w innych miejscach jest inaczej. Wszystko, co było piękne z przyrody, wszystko zostało dosłownie zniszczone. Drzewa zostały wycięte, park ogromny, starodrzew bardzo piękny, wspaniałe okazy modrzewi, jesionów, dąb jeden - o tu sztych Tymona Niesiołowskiego przedstawiający ten dąb, z tego dworku - ten dąb jeden ocalał. Ten jeden dąb i stara bardzo piękna aleja lipowa, która ludzie ocalili podobno ! Bo tam mi mówili, że ludzie miejscowi nie dali wyciąć tej unikalnej zupełnie alei lipowej kończącej się taką piękną, okrągłą altaną z lip. Zaprotestowali ! Bo i to chcieli wyciąć. Przyjeżdżali z jakimiś spychaczami, wrywali krzewy, niszczyli ścinali wszystko.

To był taki dwór drewniany, w stylu właśnie tych dworów litewskich. Bo ten w Nowogodzkim, Paulinów - to był już dwór murowany, duży, z kaplicą, o charakterze takim pałacowym. Natomiast ten dwór Kwietniewski - on stoi, ale to, co teraz stoi, to jest po prostu coś przerażającego. Bo to jest może jakaś okropna, straszna buda - straszna, ja tego w ogóle nie poznałam ! Tam nas zaprowadziła taka pani, która tam mieszka (byłyśmy tam z córką) i mówi - a to jest dom. Ja zobaczyłam jakąś straszliwą rudere, jakąś chatę, przekrzywioną, z zapadniętym fundamentem, pomalowaną na jakiś żółty kolor, z takim zapadniętym dachem pośrodku. Naokoło pełno jakichś przybudówek zrobionych. Nie ma werandy, nie ma ganku, nic nie ma, tylko jakieś takie podobudowywane jakieś takie, takie...

Jezeli chodzi o ewentualny wpływ repatriacji na wyznawany system wartosci i jego ewentualne zachwiania - sãdze, ze bylam wtedy jeszcze za mala, zeby to jakos ocenic. Ale w kazdym badz razie na pewno to w jakis ogromny, zadadniczy sposob zmienilo caly sposob myslenia. No, ja w zyciu, do konca obecnych swoich dni w kazdym razie takie poczucie, takie przekonanie, ze ja zostalam w czegos w straszny sposob wyzuta, cos mi zabrano. W jakis sposob mnie zniszczono, zmieniono. Nie tylko w sensie tym, ze zabrano mi dobra materialne, tylko ze stracilismy nasza klase, nasza pozycje. Nie taka, ze mamy sie tam nad kogos wynosic, czy w jakis sposob izolowac, tylko to wszystko, co bylo wartosciowego i pieknego w naszym wlasnym srodowisku, to bezsprzecznie wnieslismy jako srodowisko do całej kultury narodowej, do obyczaju narodowego, jakiegos pojmowania - to wszystko w jakis sposob zostalo zniszczone bezpowrotnie. Bo to zostalo zniszczone, bo to w niktorzych domach, w niktorzych rodzinach jeszcze sie przechowuje, zyje. Ale to sa zupelne unikaty, tego juz prawie nie ma i to juz w zaden sposob niegdy sie nie dzwignie, nie odzyje. Zostaje zalewane, niszczone fala takiej bazi-deowej, bezklasowej takiej szmiry po prostu. To bezwzglydnie ja bardzo odczuwam i bardzo nad tym boleje. Niestety, nie ma na to zadnej rady ! Tak juz przeszlo, historia taki obrot juz zrobila, ze juz nie mamy mozliwosci zadnego na to wplywu. Nastepne pokolenia, ktore przychodza nie maja juz o tym pojecia nie wiedza i nie moga wiedziec. Niktorzych to interesuje, znaja z jakischs opowiadani, strzepow, ogladaja jakies fotografie i w jakis sposob sie tym przejmują. Ale bardzo wiele osob w ogole to lekcewazy calkowicie i po powoli, powoli utonie w takiej ogolnej niepamieci. Bo inaczej to pewnie nie mozna sobie tego wyobrazic. W kazdym razie zarowno nas, - ktorzy

zostaliśmy w taki straszny sposób z Kresów wypędzeni i ziemianstwo tutaj miejscowe, polskie, z Królestwa, jak się to mówiło w podobny sposób zostało przecież potraktowane. Tylko, że dzisiaj oni mogą wejść do swoich dawnych siedzib, ewentualnie coś odzyskać. Zresztą jak się dowiaduje, podobno my też możemy na Litwie, nie tylko tu poprzez jakies ogólne składanie naszych roszczeń, ale podobno i Litwini też w jakiś sposób respektują możliwość powrotu polskich ziemian tam. Ale pod warunkiem, że się tam wróci i się tam osiedzi. Nie wiem, na ile jest to możliwe i prawdopodobne, ale takie informacje teraz słyszałam.

W Wilnie na ul. Witoldowej 5 miałam ogromnie bliskich przyjaciół mego dzieciństwa. Mieszkała tam matka z dwojgiem dzieci, to byli państwo Buczaccy. Córka pani Buczackiej, Halina była moją rówieśnicą i był młodszy od nas o 4 lata brat Haliny Jurek, który później był znanym aktorem. Występował jako Emil Buczacki, grał w takich filmach, jak "Faraon", "Noce i dni", gdzie grał postać Kocięła. On już nie żyje, zmarł parę lat temu. To byli najbliżsi przyjaciele mojego dzieciństwa. To były takie cudowne, wspaniałe wspomnienia. Ja nie miałam rodzeństwa, w tym domu poza nami trojgiem nie było więcej dzieci w tym wieku i myśmy sobie cudownie, wspaniale organizowali nasze dziecięce przygody. Dlatego, że tam, gdzieśmy mieszkali było wyjątkowo pięknie - koło naszego domu (to był rodzaj przedmieścia) zaczynały się lasy sosnowe, bardzo ładne i płynęła Wilia. Nasz dom stał tuż nad Wilia. Za domem był dosyć duży ogród, z którego wychodziło się od razu nad Wilie. I nad tą Wilia upływało nasze dzieciństwo, tam były nasze wyprawy. Był np. ułożony archipeląg z takich dużych kamieni. Nie wiem, one chyba naturalnie się tam znajdowały. I dla nas to była ogromna przyjemność (już latem, bo to trzeba było przejść kawalek rzeki, takim brodem) - wślizgiliśmy się na te kamienie i bawiliśmy się

na tych kamieniach. Te zabawy i te kamienie tez pozostaly mi na cale zycie w pamieci. Ja bardzo czesto wracam do tego wspomnieniami. Jak teraz poszlam na Witoldowa, gdy bylismy niedawno w Wilnie, to pierwsza rzecz pobieglam zobaczyc to miejsce. I jeszcze pare kamieni tam w Wilii jest. w tym samym miejscu. Juz oczywiscie nie tyle, bo pamietam swietnie, jak one byly ulozone, jak sie tak po nich przechodzilo z jednego na drugi, wokolo byla woda. I jeszcze jeddn z tych kamieni jest. Wiec to jest tez takie cudowne wspomnienie ta, zabawa. Pozniej w tym ogrodzie mielismy rozmaite swoje grzadki, uprawy zesmy prowadzili. Hodowalismy tez wszyscy kroliki. To byla nasza ogromna milosc do tych krolikow. Chodzilismy po tych laskach i zbieralismy rozmaite ziola, trawy dla tych krolikow. Ogromnie mile to wspominam. Mielismy tez dwoje koty.

Mystyca Bocharic-fateroivle

Winnica 1991-06-20.